№ 34.

Warszawa dnia $\frac{14}{26}$ Sierpnia 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

LUDGARDA.

OBRAZEK

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

II.

(*Dalszy ciąg.*)

Choć polowanie dość pomyślnie wypadło, Pan Leon wszelako do szczęśliwych nie należał — i nie wystrzelił ni razu; był kwaśny — zamyślony jakoś — i niby gniewny.

Gdy następnie do domu wracano, wsiadł Żyłko do jego karykla. Dwie trzecie drogi w zupełnem przebyli milczeniu.

— Czegóżeś tak mroczny, panie Leonie? zagadał wreszcie kapitan.

— Nudzi mnie wszystko, a nic nie zajmuje — i niby westchnął zlekka.

— Nawet i ciekawym nie jesteś, co do owego pięknego zjawienia w lesie.

— Wiem naprzód, że rozwiązanie nastąpi rychléj czy późniéj, prozaiczne zupełnie! — skrzywił usta do uśmiechu.

Myśliwstwo ze zgiełkiem na dziedziniec wjechało. Panie były na balkonie i w oknach otwartych.

Leon spojrzał się ku oknom swojego pokoju — i nagle zakrzyknął.

— Cóż to? — zapytał Żyłko.

— Przy oknie w naszym pokoju!

— Co takiego?

— Dama jakaś!

— Nic nie widzę.

— W kapelusiku czarnym z białem piórem... w sukni zielonéj... blondynka — Leon, mówiąc to, równemi nogami z karykla wyskoczył i szybko do pałacu pobiegł: ujrzał był w oknie postać niewieścią podobniuteńką do jezdzczyni w lesie — jednem słowem: *Ludgardę!*

Lotem błyskawicy przebiegł wschody — uderza we drzwi sypialni: zamknięte! Wołą, krzyczy na swojego Pankracego, który z dołu na rozkazy pana pospieszał.

— Któż miał klucz od naszego pokoju?

— Mam go przy sobie i nikomu go nie dawałem.

— Otwieraj!

W pokoju oczewiście nikogo nie było.

— Gdzie byłeś? pyta pan gniewnie.

— Na dziedzińcu.

— Oddawna?

— Kiedyśmy dojrzeli, że polowanie powraca....

— Nikt tu nie był w pokoju?

— Żywa dusza nie postała. Przecież klucz ciągle noszę przy sobie.

— Mogą mieć drugi..... i mają z pewnością — pomruknął Leon — *nonsens*!

— Niczegom nie zmiarkował, panie.

Wszedł pan Wincenty.

— A cóż owa dama? — zapytał.

— Nikogo nie było... może przywidziało mi się.... pomyliłem się co do okna. — Leon był zły, przebrał się szybko i pobiegł do salonu.

W koło głośna i wesoła rozlegała się wrzawa, on sam jeden tylko był milczący i ponury: usiadł w kącie i zadumał się.

Dano znać do stołu. Wszyscy gwarnie do jadalnéj przeszli sali. Wchodząc, rzucił Leon wzrokiem na drzwi zamknięte od przyległego pokoju.

I objad był wesoły: myśliwi dobry z sobą przywieźli apetyt — a wnoszono i zdrowia przeróżne, rzewno a serdecznie.

Gdy po herbacie zebrano się w salonie, i zabierano do gry i zabawy, spostrzegła pani Kamilla, że Leona brakuje. Posłała do jego pokoju, lecz tam go nie było.

— Wziął świecę i poszedł do zielonego pokoju — powiedział jéj jeden ze służby.

Zielonym pokojem nazywano komnatę przy sali jadalnéj, w której wisiał portret Ludgardy.

Pani Kamilla jakoś kiwnęła głową i z pośpiechem wybiegła; przebiegła sień, salę — i weszła do tajemniczéj komnaty. Leon stał przed obrazem, z podniesionym w górę świecznikiem!

— Kuzynku, co tu porabiasz?

Leon się obrócił, przybierając wyraz jak najobojętniejszy.

— Wszedłem przypadkowo i przyglądam się *heroinie* onéj waszéj familijnéj *legendy*.

— Była śliczną dziewicą, nieprawdaż?

— Inaczéj też nie byłaby *heroiną*! — odrzekł widocznie zadowolony z odpowiedzi swojéj.

— A czyliż brzydka nie mogłaby także być *heroiną*? Wszakżeś sam powiedział, że mógłbyś zakochać się tylko w bardzo pięknéj, albo też doskonale brzydkiéj.

— I powtórzyć to mogę; — zasłonił fularem usta i ziewnął.

— Oh, znużonyś i znudzony pewnie, a tu jeszcze godzin parę do wypoczynku. Chodźmy, bo rozpoczynają się gry i tańce.

— Nie tańczę.... a te gry są tak.... *stupides*!... Ale zresztą chodźmy, bo i cóż robić? — i z chłodnym uśmiechem podał jéj rękę.

W salonie tymczasem już było zgiełkliwie — i pan Staś przy Milce, a jakiś pan Bogusław przy Wandzie Chrząstowiczównie. Bawiono się bardzo ochoczo, ale wszelako towarzystwo rozeszło się wcześnie: panowie byli znużeni łowami, a jutro znowu czekały ich nowe.

Leon i Żyłko zapalili sobie cygara — których nie palono przy paniach. Pierwszy przechadzał się wszerz i wzdłuż. Żyłko usiadł przy otwartem na ogród oknie: jasne światło księżyca oblało wszystko uroczo, cienie drzew w fantastycznych łamały się kształtach, noc była cicha i piękna.

Pan Wincenty rozpoczął gawędkę — prawił coś tam o *lago maggiore* i jego urokach. Z początku Leon wtrącał tylko jakieś monosylaby, następnie rozruszał się nieco.

— Prześliczna noc! — zawołał kapitan, skończywszy jakieś wesołe opowiadanie, i wychylił się z okna. Zbliżył się także Leon i stanął przy nim.

— Chłodno — wymówił.

— Nie noc włoska, tylko polska, a przecież i jesień za pasem.

Popatrzeli trochę. Pan Wincenty zaczął znowu coś opowiadać, gdy Leon porwał się nagle:

— Czy widzisz, kapitanie?

— Co takiego.

— Kobietę w kapelusiku z białem piórem.

— Gdzie?

— Tam na wzgórzu.

— *Fata morgana*!

— Jak najwyraźniéj...! — Leon wybiegł pospiesznie. Pan Wincenty lepiéj wychylił się z okna.

Po długiéj dopiero chwili Leon powrócił.

— A co? — zapytał Żyłko, powstając.

— Nic — odrzekł tamten spokojnie.

— Zeszedłeś do ogrodu?

— Chciałem się przekonać, która to z pań była...

— I co?

— Nie widziałem nikogo.

— Hm! Zdawało ci się chyba.

— Daję słowo honoru, żem jak najwyraźniéj widział.

— Hm!... Istny majak! — poszepnął kapitan.

Leon stanął przy oknie i patrzał się w rozjaśnioną księżycem przestrzeń, ciemnemi drzewami upostaciowaną — śledził wzrokiem i dumał.

— Panie Leonie, czy znowu kogo widzisz?

— A co? Czegóżeś się tak zapatrzył? — powtórzył kapitan, nie odebrawszy odpowiedzi.

— Panie Leonie! — zawołał głośniéj.

— Co, co? — ocknął się wreszcie kawaler.

— Czy widzisz znowu kogo w ogrodzie?

— Nikogo.

— I czegóż tak wyglądasz, w zamyśleniu?

— Podumałem trochę — i ziewnął.

— O czemże?

— O cygarach—przeciągnął się i znowu ziewnął.

— Było zadumać się o czem! Ale czas do wypoczynku, bo jutro nowe czekają nas trudy.

— Dobra noc.

— Dobra noc.

Na zegarze wieżowym pierwsza uderzyła z północy.

Kapitan niezadługo całą piersią chrapać począł. Leon z przymkniętemi leżał oczami. Wtem mniemał, że słyszy szelest sukni jedwabnéj — oczewiście kobiecéj. Porwał się szybko i szeroko rozwarte oczy powiódł do koła. Wszystko ucichło — i tylko tykanie zegarków na stoliku rozlegało się głośniéj. Po chwili, gdy znowu zabierał się do snu, jak najwyraźniéj posłyszał ten sam szelest, jakby sukni jedwabnéj. Wyskoczył z łóżka, obszedł pokój, otworzył drzwi na korytarz i wszędzie zupełna trwała cisza. Rzucił się pod kołdrę — szelest się powtarza, a kapitan chrapie. — Leon wcisnął głowę pod poduszkę i niezadługo zasnął.

Dnia drugiego polowanie odbyło się równie szczęśliwie co dnia poprzedniego. Leon upatrywał wszędzie jezdczyni na białem koniu, lecz nie ukazała się i kwaśny do domu powrócił. Upolował wszelako zająca!

Wieczorem, w salonie, bawiono się znowu. Muzyka i dźwięczne śpiewy mile zajmowały zebranie. Ale pan Leon się wymknął i do swojego poszedł pokoju. Rzucił się na leżankę i dumał. Niezadługo uderzyło coś w okno — nietoperz zapewne! pomyślał. Wieczór cudnie był widny — ale raz po raz lekkie chmurki przemykały po jasnéj tarczy księżyca. Leon patrzył się w te fantastyczne kształty — niby duchy napowietrzne, jakby w balladzie Bürgera. Wtem posłyszał ten sam szelest sukni jedwabnéj, który był trzykrotnie zeszłéj posłyszał nocy. Porwał się na równe nogi — szelest dochodził go wyraźnie — obejrzał się w koło — i szybko wybiegł. Strumień światła księżycowego płynął jasnym smugiem przez okno w długi, ciemny korytarz na końcu którego ujrzał postać niewieścią, wysmukłą, w długiéj sukni, w kapelusiku czarnym z białem piórem. Jak strzała pogonił za nią.... lecz znikła w cieniu — niby rozpłynę-

ła się w ciemności. Rzucił się ku drzwiom ostatnim na lewo — były zamknięte. Rzucił się na prawo: w pokoiku niedużym, przy jasnéj lampie, siedziały dwie panny garderobne szyciem zajęte.

— Moje panie — zagadał do nich — dokądże te drzwi zamknięte naprzeciw prowadzą?

— Naprzeciwko naszych? Tam są skrzynie z pościelą i szafy z bielizną — odrzekła starsza.

— I czy zawsze zamknięte.

— A przecież zawsze.

— Czy tam nikt teraz nie wchodził?

— A któżby?! U mnie są klucze — i wyciągnęła pęk cały z kieszeni.

Pan Leon drzwiami trzasnął i szybko do salonu podążył, czyli tam któréj z pań nie brakuje.

Były wszystkie.

Właśnie też całe grono zebrało się w koło pułkownika. Opowiadano, gwarzono, gdy pani Kamilla, obejmując wujaszka z przymileniem prosiła, by im które z zajmujących opowiadań swoich powtórzył.

— Są to wszystko zdarzenia prawdziwe, pełne interesu i ciekawe, a wujaszek opowiada wybornie! — dodała, zwracając się do zebranych.

Prośby wszystkich ozwały się chórem.

— Otóż i dobrze, dobrze! — uśmiechnął się pułkownik i musnął mlecznego wąsa — gadaliście dopiero coś tam o duchach czyli nadprzyrodzonych, lub niewytłomaczonych widzeniach, to więc i ja wam, dla przestrogi, coś w tym rodzaju opowiem.

— Och, cudnie! — zawołały panny i klasnęły w dłonie.

— Więc pan pułkownik wierzy w duchy? zapytała Milka.

— Posłuchajcie pierwéj powiastki.

— Słuchamy! Słuchamy! — skupiły się panienki, niby bukiet kwiatów.

Leon usiadł na uboczu i skłonił na dłoń czoło. Pułkownik opowiadać zaczął.

— Było to w zimie r. 182*, w grudniu, w Warszawie. Wiatr uganiał po ulicach, zamglone kołysząc latarnie, i tęskny w moich czterech ścianach, wybrałem się do państwa R. Zastałem tamże nieliczne grono osób, ale dobrze sobie znajome i przyjazne. Obsiedliśmy stół herbaciany, i gawędka toczyła się raźno. Mianowicie też odznaczało się dwóch starych wojskowych: major N. i kapitan M., pełną życia i dowcipem pogadanką, jako też i dykteryjkami różnemi. Obadwaj młodość pod jednym spędzili sztandarem, jedne i te same przeżyli koleje.

Major mówił o nagłem a niespodziewanem wylądowaniu cesarza Napoleona z wyspy Elby na brzegach Francyi, któremu był obecny — a pamiętam całą tę rozmowę, jakby od wczoraj.

— „Wielka a pamiętna była to chwila, pełna entuzyazmu, że nie powiem i szału,, — wyrzekł, a oko jego ogniem błyszczało — „i potrzeba było widzieć *le plus bel homme de la France*, bohatyrskiego *Labedoyère*, jak w Grenabli na czele pułku swojego rzucił się z całym zapałem ku cesarzowi, z podniesioną wysoko chorągwią *tricolore*, którą starannie w bębnie był ukrył. Pamiętna to była chwila!... Wieść o tem oczewiście przeraziła Bourbonów, i hrabia *d'Artois* sam pospieszył do Lionu, by przekonać się naocznie, jakie tam dla rodziny jego usposobienie panuje. Przeświadczył się też i zaraz o najwyższem dla Napoleona uniesieniu, i tylko tyle pozostało mu czasu, by co rychléj do Paryża powracać. W téj podróży, połączonéj z trudnościami i niebezpieczeństwem, jeden tylko towarzyszył mu żandarm. Gdy cesarz następnie w czasie rządów swoich studniowych posłyszał o téj wyprawie hrabiego *d' Artois*, ozdobił żandarma, który mu towarzyszył i w niebezpieczeństwie grożącem nie odstąpił, krzyżem legii honorowéj *za wierność swojemu ówczesnemu panu*. Otóż to wspaniałamyślność prawdziwa!"

— Czyn ten szlachetny wielkiego człowieka, wojownika i monarchy, rozrzewnił nas wszystkich — ciągnął dalej pułkownik — bo major znał nawet i żandarma tego... Wielkość prawdziwa ma wszędzie i zawsze wielkoduszne poczucie i uznanie, a gdzie niemasz wspaniałomyślności objawów, to gdyby i rozum był wielki, i mądrość, i genialne zdolności, i odwaga rycerska, tam wszelako miano *wielki* miejsca mieć nie może. Opowiedział następnie i kapitan jakiś wypadek... i posnuły się daléj a daléj tego rodzaju opowiadanki, aż przeszły na pole smutnych przepowiedni i proroctw różnych. Jest w nas pewna siła tajemnicza, która ku rzeczom nadprzyrodzonym dziwnie nęci i pociąga. To też, gdy towarzystwo na ten nigdy nie wyczerpany wpadło temat, już o czem innem i mowy nie było. Każdy o czemś był posłyszał, nie jeden nawet i *coś* ujrzał *kiedyś*... i posypały się powiastki o przepowiedniach, tajemniczych znakach, widzeniach, duchach, samowtórach, i różnych, pełnych mistycyzmu zdarzeniach. Kapitan odznaczał się szczególniéj pod tym względem i nieprzeliczone mnóstwo opowiadanek nazbierał.

— „Baj baju, będziesz w raju" — powtarzał na wszystko major z uśmiechem niedowiarstwa, a kolega odpowiadał mu znowu.

— *„Są dziwy na niebie i na ziemi, o których ani się śniło filozofom naszym"*

— „Tak, tak, piękne to sobie i mądre, — zagadał na to major — ale, pomimo wszelkich powiastek o duchach, widzeniach i upiorach, nikt mi jeszcze w żywe oczy nie powiedział, że ducha ujrzał. W czasach wojaczki, bywało, nocowałem na cmentarzu, w kostnicy, w grobach nawet, a nigdy mi się nic nie pokazało."

— „Ej, bo wtedy cała uwaga natężoną była, czyli tam: *„na koń!"* nie krzykną. Żyło się wśród niebezpieczeństw i oswoiło się z niemi, to i nie pamiętało się o duchach, choćby i w grobach nawet" — zaprzeczył znowu kapitan. „Zresztą nie byłeś sam jeden, tylko w licznem gronie towarzyszów broni."

— „Tamci posnęli, a jam czuwał" — odparł major — i sam jeden tylko śledziłem zielone mogiły, krzyże drewniane i kamienne grobowce; bo wyznaję szczerze, że radbym był ducha zobaczył, a nawet i fantazya posłużyła mi do utworzenia sobie jakiego widziadła. Chciałbym, naprawdę, koniecznie kiedy ducha zobaczyć" — i zaśmiał się wesoło.

— „Ej majorze, majorze, nie mów pan tego!" — zawołała gospodyni domu — „to jest naganna ciekawość i przestraszyłbyś się na śmierć"..

— „Ja?!"— i stary wojak głośnym parsknął śmiechem. Nie lękałem się armat nieprzyjacielskich, a miałbym się ducha przestraszyć?!"

— „Przeszłyby ciebie jednakże ciarki!" — pogroził kapitan.

Na to major aż niby trochę z gniewem:

— „Nie znasz mnie chyba jeszcze, skoro coś podobnego twierdzić możesz.

A kapitan, śmiejąc się, zawołał:

— „Będę sam ducha udawał i nastraszę ciebie.“

Major roześmiał się głośno i wyrzekł:

— „Antosiu! dziecinniejesz chyba! Ja miałbym się przestraszyć, gdybyś ty ducha udawał?!“

— „Tak jest“ odpowiedział kapitan poważnie.

— „Baj-bardzo z ciebie, mój kochany!“ major wyrzucił głową i wąsa zawiesistego pokręcił, „a nie znałem ciebie jeszcze z téj strony.“

— „No, to o zakład niechaj idzie!“ — i kapitan ku niemu rękę wyciągnął.

— „Dobrze, zgoda!“ — odrzekł tamten.

Kapitan się uśmiechnął, jakoby pewien wygranéj i wymówił:

— „Dasz mi swoją strzelbę, jeżeli zakład wygram, a jeżeli przegram, oddam ci moją tabakierkę z królem Joachimem.“

— „Zgoda! Zakład stoi!“ i podali sobie ręce.

— „Nie doświadczajcie, panowie! Nie doświadczajcie!“ — zawołała znowu gospodyni domu.

— „Tóćże to żarty tylko! — zaśmiał się major. „Ale kiedyż ta komedya nastąpi Antosiu?„

— „Czasu nie oznaczam“ odrzekł kapitan.

— „Tak, tak, dla lepszego i pewniejszego efektu, rozumiem!“ — i major poklepał go po ramieniu. „Dziecko z ciebie, mój Antosiu, i niechże ciebie uściskam za to. Tabakierka jest już, jakoby moją, a podobała mi się zawsze.“

A na to zawołał kapitan.

— „Nie, nie, to raczéj piękna strzelba liońska jest moją!“

— „Zobaczymy! zobaczymy! Nie dajże mi przynajmniéj zbyt długo czekać na owego ducha“ — żartował major.

A kapitan znowu:

— „Cierpliwości, mój Karolku! *Chi va piano va sano*“

— Upłynęło kilka tygodni, mówił daléj pułkownik i zapomniano niby całkiem o powyższym zakładzie. Kapitan z majorem w jednym mieszkali domu, na jednem nawet piętrze i widywali się nie tylko codziennie, lecz zwykle i wieczory całe przepędzali z sobą, przy ogniu kominkowym, lulce, herbacie, szachach lub pogadance. Raz wieczorem, w mieszkaniu majora, długo tak sobie siedzieli i o dawnych gwarzyli czasach; nadto i gazety, zawierające wiadomości o ruchach w polityce i na dyplomatycznéj niwie, dostarczały do rozmowy przedmiotów. Wreszczcie rozeszli się, i major udał się na spoczynek. Północna godzina wybiła na Ś-to krzyzkiéj wieży, gdy majora szmer jakiś obudził: zrywa się i widzi o parę kroków od łóżka, białą, wysoką postać: kształtów jéj rozróżnić nie mógł, bo noc była nie księżycowa, jakkolwiek nie ciemna.

— „Antosiu!“ — zawołał, przypominając sobie od razu zakład — zachciało się tobie psich figli, lecz się nie udały. Daj sobie pokój, idź spać!“

Biała postać pozostała milcząca.

— „Antosiu, nie trudź się daremnie“ — woła ciągle major — widzisz przecie, że mnie złudzić nie potrafisz. Dajże pokój, jestem śpiący.“

Postać stała ciągle.

— „No, no, czyń co zechcesz: strzelby nie dostaniesz, a musisz oddać tabakierkę. Zrzucić z siebie prześcieradło.“

Biała postać stała nieruchoma.

— „Ej, bo mnie już i nudzisz. Proszę, ciebie, zrzuć prześcieradło i zaprzestań tego głupstwa! Dosyć już tego!“

Postać jak stała tak stała.

— „Bo strzelę, ktokolwiek jesteś!... Cierpliwości już nie staje!... Precz z tem błazeństwem!“ zagrzmiał major, porwał się i sięgnął po wiszącą nad łóżkiem strzelbę, nabitą zawsze.

Postać stała.

— „Strzelę!... Daję słowo honoru, że strzelę!.. Raz!... Dwa!... Trzy!... Odpowiedz, kto jesteś! W imię Boga zaklinam i raz jeszcze ostrzegam!... Raz!... Dwa!... Trzy!...

Strzał padł — postać ani się zachwiała.

— „Ha!“ — rzucił się major — potem umilkło wszystko.

Cisza przez chwilę potrwała—i przerwał ją śmiech głośny, a kapitan wybiegł z drugiego pokoju w towarzystwie innego jeszcze kolegi, z zapaloną w ręku świecą.

— „Karolku! — zawołał — przyznajże-że się, żem ciebie nastraszył trochę. Prześcieradło wisi przed tobą, a kulę wykręciłem ze strzelby. Nie gniewaj się, Karolku!

Major nic nie odpowiadał.

— „Gniewa się!... Karolu, przebaczenia!” kapitan przystąpił do łóżka, pochwycił rękę przyjaciela.... i krzyknął; major żyć przestał.

— Jak to! Czy apopleksya? — zapytał Miliszewski.

— Apopleksya. Przywołano lekarzy, lecz wszystko było nadaremne. Kapitan był nieutulony w żalu i smutku, i krótko go przeżył.

— Cóż zabiło majora?... — ozwał się pan Ignacy.

— A tak, cóż go zabiło?! — powtórzył pułkownik.

— Przestrach, przerażenie — wymówiła Kamilla.

— A może i gniew — dodał sędzia Marszewski.

— Być może. I wypadek ten powinien za przestrogę posłużyć — wyrzekł pułkownik poważnie — by w podobne nie bawić się żarty. Smutne już nieraz zdarzały się przykłady. Po cóż nam czynić igraszki z nadprzyrodzonemi rzeczami?

— Czy pan pułkownik wierzy w duchy? — zapytała Milka po raz drugi.

— Nie widziałem nigdy nic nadzwyczajnego. Nie pokładam ślepéj wiary w ukazywanie się duchów, ale też i nie zaprzeczam wcale, bo przekonania mieć nie możemy.

— *Charles Fourier* twierdzi — przemówił pan Bogusław — że duchy nieboszczyków zostają w ścisłym związku z tym światem; że cierpią z nami pospołu, i cierpieć będą, dopóki chaos społeczny, zostający w sprzeczności z wolą Boga, trwać nie przestanie i że szczęśliwość ich nastąpi wtedy dopiero, gdy stan ten się zmieni.... i żyjący szczęśliwymi zostaną. A zatém i objawiać nam się mogą.

— Tadeuszowi Czackiemu miał ukazać się duch Ignacego Patockiego — wtrącił Miliszewski — a Ludwikowi XVIII duch cesarza Napoleona, właśnie w chwili skonu cesarza na wyspie ś. Heleny.

— Dominikowi Magnuszewskiemu objawił się duch

matki — przemówiła pani Karolina — jak mi to krewni jego mówili.

— Naprawdę, że dość już o duchach! — podniosła się pani Kamilla — dajmy pokój umarłym, a bawmy się z żyjącymi! Karolciu, zagraj poleczkę! Niechaaj młodzież potańczy i niemiłe spłoszy wrażenie. Wujaszek posmutniał — poszepnęła przyjaciółce na ucho.

Pani Karolina śliczną zagrała polkę *Brillante*, i dwie młode pary w zręcznym sunęły polocie.

— Wujaszek nieprzyjemnego doznał wrażenia, za wiele o duchach mówiono... a zwłaszcza też to przypomnienie ostatnie, — poszepnęła pani Kamilla Leonowi, który dotąd jeszcze w swoim zostawał kąciku. Potańcz i ty trochę, kuzynku!

I niemal po raz pierwszy powolny takiemu wezwaniu, powstał pan Leon, potarł dłonią czoło, niby ziewnął w ukryciu—podał rękę pannie Jadwidze, i przepolkował z nią po salonie.

Tańczono — bawiono się — ale towarzystwo rozeszło się wcześniéj jeszcze, jak dni poprzednich.

Dnia następnego polowania już być nie miało, i różne tam inne ku spólnéj rozrywce układano plany.

Leon dość rychło wstał nazajutrz, przywdział eleganckie ranne ubranie, podług najświeższéj *fashion*, zapalił cygaro i wyszedł do ogrodu. Skręcił niebawem na lewo, wszedł bocznemi drzwiami na powrót do pałacu i małemi wschodami na korytarz się dostał; udał się do sali jadalnéj, a ztamtąd do tak zwanego zielonego pokoju — i rzucił się w duży fotel naprzeciw obrazu Ludgardy.

Po niedługiéj chwili wszedł ktoś na salę — dały się słyszeć głosy — otworzono drzwi nagle — i ukazał się kapitan.

— Co u licha! — zawołał zdziwiony — cóż tu porabiasz, panie Leonie?

— Lubię obrazy — uśmiechnął się zagadniony. Chodziłem po ogrodzie i znużyłem się nieco.

Kapitan musnął wąsa.

— Ładny obraz, nieprawdaż?

— Tak sobie. Pędzel jest niezły... głowa wcale ładna.... Ale żartuję, żem tu dlań przyszedł.... zabłąkałem się przypadkowo. Chodźmy! — ujął kapitana pod rękę i wyszli na salę.

— Siadajmy.

I przy otwartem usiedli oknie.

— Ten portret ma naprawdę coś pociągającego — zaczął kapitan.

— Pociągającego nic! Ot, niezły.

— Służba, bo paniczny ma przed nim postrach.

(d. c. n.)

Kronika zagraniczna.

Przed kilku laty pani Sand a po niéj Proudhon wszczęli byli o wpływie i charakterze Jana Jakóba Rousseau'a spór, jaki wznowił się i teraz przy sposobności listów i korrespondencji, które wyszły na jaw za staraniem pp. Streckeisen-Moulton, Jules Levallois i Sainte Beuve. Oprócz listów pisanych do Rousseau'a przez przyjaciół i nieprzyjaciół jego, znajdują się tam dwie obszerne rozprawy: jedna wstępna, historyczna, druga w rodzaju oceny i komentarza krytycznego. Zbiór ten niejedną rozstrzygnie kwestyę. Dotąd bowiem, pomimo rozlicznych prac, nie zdołano bynajmniéj ustalić sądu o znaczeniu, wpływie i charakterze Rousseau'a. Te same stronnictwa, które za życia tego znakomitego myśliciela występowały bądź za nim, bądź przeciw niemu, istnieją w małych odmianach i dziś jeszcze — i wątpimy nawet, czy po ogłoszeniu tych listów utrwali się zdanie o téj znakomitéj postaci ośmnastego stulecia.

Największą dotąd przeszkodą w ocenieniu Rousseau'a była zbyteczna jednostonność krytyków. Chcieć sądzić o nim li z płomiennych stronnic jego gorączkowéj duszy, z których namiętne wycieczki i chorobliwe widzenia względem współczesnych tak jaskrawy i łudzący zastawiły obraz, lub chcieć iść jedynie za świadectwem tych, którzy go zapoznali, wyszydzili, prześladowali, jestto wciskać się uporczywie w roznamiętniony tłum sekt i koteryjek, z których każda własną powoduje się dążnością bez względu na to, czy naród, idący ślepo za ich prądem, jakąkolwiek korzyść odniesie. Zadaniem krytyki, któréj przedmiotem jest indywidualność takiéj znakomitości jak Rousseau powinno być: umieć postawić bohatera swego na stanwisku takiem, z któregoby widok na oblicze jego roztaczał się swobodnie i jawnie na wszystkie strony. A jednak krytyka francuzka, o ile to Rousseau'a dotyczy, mało i prawie wcale na to nie zważała. Myśliciel ten dwojako w niéj się przedstawia: raz, jako geniusz-atleta, porywający za sobą połowę świata współczesnego, drugi raz, jako schorzały prorok, pełen wrogich uczuć i szalonych idei, których nikt słuchać i naśladować nie chciał. Tak więc jedna i ta sama postać dwojako się przejawia— a przejaw to nienaturalny. Ażeby dać poznać czytelnikom różnicę zapatrywania się krytyki na charakter Rousseau'a i znaczenie pism jego, przytoczymy tu dwa przykłady wyjęte z oceny skrajnych stronnictw.

Servan, zawzięty przeciw Rousseu'a, tak się o nim wyraża: „Pozwalam sobie powiedzieć, że każdy ktokolwiek czytał uważnie płody Rousseau'a, wyznać musi, że to był fantastyk w całem znaczeniu tego wyrazu. Wielkie to nieszczęście, że geniusze śmią wymagać po nas iżbyśmy brali udział w ich walkach. Powiem więcéj —w pismach Rousseau'a spoczywa obfity zarodek obłędu, którym się społeczność nasza niejednokrotnie zaraziła. Rousseau nie lubił świata, ale i świat go nie lubił. On sam to sprawił, że go nie-

nawidzono, unikano, prześladowano; niechciał pojąć, że przy sporach i zatargach prywatnych on sam pierwszy dawał hasło do boju, lub podejrzewał ludzi, których powinien był szanować. Jakby w odwecie— naród wypowiadał mu wtenczas posłuszeństwo. Przykład tego człowieka najwymowniejszym jest dowodem, że bez wyrozumiałości, dobroci i szlachetnéj ufności, cnota każdemu naprzykrzyć się musi. Rousseau miał przy tem wszystkiem zwykłą słabość wielkich śmiertelników t. j. być żałowanym i ubóstwianym. Bez wielkiego trudu można w nim odkryć wszystkie te słabości, które wtenczas najbardziéj na jaw wychodziły im bardziéj je ukryć pragnął. Wyniosłość była główną stroną jego charakteru. Samotność była u niego drugą naturą — i w téj to samotności żył li samym sobą, wydobywając z siebie największe zdolności, ale i największą zawiść względem swych współczesnych.

Inaczéj pani Sand. Należy ona do liczby tych zwolenników Rousseau'a, których wiara w nauki i pomysły jego prawdziwie niezachwiana nazwać się może. Pani Sand występowała już nieraz w obronie swego mistrza. Przed niedawnym czasem zamieściła w *Revue des Deux Mondes* wymowny artykuł, w którym podniosłe myśli i genialne zarysy charakteru Rousseau'a przewyższają w ogóle wszystko to co tylko o mistrzu i proroku swym napisać można. Wspomina o nim jak o ojcu, który przelał na nią miłość przyrody, jak o ojcu, który ją do życia zbudził, jak o mistrzu, co w niéj zapał dla prawdy rozniecił i nauczył gardzić próżnostką świata. Pani Sand nie przestaje na saméj tylko czci dla wielkości jego geniuszu, owszem popiera nawet najchorobliwsze strony jego usposobienia; pani Sand wynosi jego zawiść, niechęć i nieufność względem świata, stara się przekonać Francuzów o niesłusznéj i nieuzasadnionéj zmowie przeciwników Rousseau'a, o sieci intryg, któremi zatruto życie i działalność jego. „Rousseau, posiada p. Sand, był najnieszczęśliwszym z ludzi, a pamięć jego należy i dziś nawet do wątpliwych i spornych kwestyi naszego życia społecznego. Czuję gorące współczucie dla téj znękanéj duszy, upominającéj się daremnie o trochę litości; czuję, jak go dziś jeszcze prześladują zamiast go bronić i kochać, zamiast pocieszać i koić, zamiast go uczcić pomnikiem wielkości i sławy, zasługi i ofiary.“

Co do nas, nie widzimy bynajmniéj, iżby Rousseau był dotyla nieszczęśliwą i prześladowaną postacią. Miałażby zresztą historja niemieć nic do nadmienienia o ważniejszych chwilach z życia jego?... Pomijając atoli zagadkową indywidualność, możnaby stawić pytanie: zkąd poszło, że myśliciel ten był ofiarą tych nieporozumień i zarzutów? zkąd się wzięło owo uporczywe rozdwojenie w narodzie, które dziś jeszcze panuje w świecie francuzkim względem Rousseu'a? Nie jest tu w tem wina samego Rousseau'a, jak raczéj wina nierówności panującéj pomiędzy talentem jego a wpływem, wyższym nad talent, charakter i siły jego. W obec niesłychanego wpływu zdawał on się być bezsilnym — niknął w walce poruszonych przezeń żywiołów, nie umiał przywodzić i co gorsza, jednym złośliwym objawem charakteru swego spychał naraz rozigrane warstwy narodu z drogi, którą je pierwiastkowo prowadzić zamyślał. Tworzył ideje, tworzył zasady życia, ale nie umiał niemi pokierować. W tem jego wina, w tem przyczyny nieporozumienia pomiędzy nim a narodem, w tem powody jego skarg i cierpkiéj goryczy. Nie naród, nie sekty występowały przeciw teorjom jego, lecz własna indywidualność.

Rousseau stał się w jednéj chwili bożyszczem idei, stał się przywódcą sekty, prorokiem rzeszy idącéj ślepo za cudotwórczą nauką jego. Nie sekta, ale naród cały był po jego stronie; stronictwo jego było istną rzeszą miłości, poświęcenia i przyjaźni.

I po tem wszystkiem potrzeba było tylko jednego szalonego wybryku, ażeby zniechęcić wszystkich ku sobie! Jeden wyskok chorobliwéj fantazyi, jeden wyraz nieufności i podejrzliwości odepchnął od niego najzapaleńszych zwolenników!

Rousseau uskarżał się bezustannie zarówno na tych co go prześladowali, jak i na tych którzy go uwielbiali; lękał się i wyznawców swoich i przeciwników. Nawet objawy przyjaźni i współczucia zwolenników niepokoiły go do tego stopnia, że brał z nich najczęściéj pozory do podejrzliwości i zawiści. A jednak bez przyjaciół żyć nie umiał; podejrzewając ich o złośliwe zamiary, powierzał im jednocześnie rozszerzanie swych idei, sarkając znów, gdy mu się z niepodobnych rzeczy uiścić nie zdołali. Żądał pieszczot, a odpychał oznaki współczucia. Rzucał garściami pomysły, ale ich zaszczepić nie chciał. Głosił ewangelie moralnego życia i wychowania, a miotał się na wyznawców swych idei. Jednem słowem: prawiąc o zgodzie, siał niezgodę, i zamiast przywodzić narodowi, wciskał się w tłum niesnasek, w których utonął bez śladu.

Jakżeż-to wielkim musiał być ten geniusz, skoro nawet w zamęcie tysiącznych intryg i niesławy zdołał zabłysnąć tak świetnie i potężnie! Istny-to kruszec szlachetny, jaśniejący nawet z pod pyłu śmieciska...

Proudhon, zwolennik i spadkobierca błędów Rousseau'a, (nie tyle potężny podniosłością myśli i stylu jak raczéj siłą charakteru) mógłby sam jeden rozwiązać zagadkę o indywidualności swego mistrza. I wrzeczy saméj odkrył on poniekąd źródło zwichniętéj karjery Rousseau'a. Powiada o nim: „Był-to charakter słaby i wątły, dusza wielka i namiętna, z sądem fałszywym i sprzecznym, geniusz paradoxalny, potężny w artyzmie *lecz sparaliżowany bałwochwalczą czcią dla swege ideału, którego nie tylko ogółowi, ale nawet samemu sobie żałował*“. Szkoda że genialny domysł Prodhona przeszedł niepostrzeżony; dotąd przynajmniéj nikt z niego nie korzystał; a przecież te kilka słów Prondhona zawierają w sobie jedyny klucz do zbadania tajemniczéj duszy Rousseau'a; wszelakie inne domysły zamącą a nie rozwiedną téj postaci, która obok Voltaire'a i Diderot'a (współczesnych Rousseau'a) karłem wydaćby się musiała.

Zwracając się raz jeszcze do stanowiska, jakie zajmował Rousseau wpośród otaczającego go świata, pytamy, jakiem *powinno* było być stanowisko geniuszu takiego, jak Rousseau, geniuszu zdruzgotanego, wprawdzie nawałem gwałtownych przeobrażeń świata, lecz dość silnego, by nie upaść tak nizko? Rousseau miał do czynienia z rozigranemi żywiołami. Prawda. Lecz prawdziwy geniusz nie ugina się pod ciosem, nie pełza. Jeżeli wierzy w moc swego posłannictwa, to jakżeż małem wydać się musi sarkazm i niezadowolnienie jego,... owszem, dźwigać się powinien i szukać

przytułku na wyżynach swego wieku a nie w zamęcie roznamiętnionego pospólstwa.

Walka i walka jest warunkiem tryumfu geniuszów.

August Jeske.

JESIEŃ.

Już posępne dni jesienne,
Spadłym liściem wiatr pomiata,
Wszystko, zda się, jakby senne,
Wszystko mówi: koniec lata.

Jesień, jesień, wszystko gada:
Pusta niwa, zżółkły gaj,
I lecących ptaków stada
Z lasów naszych w ciepły kraj.

Wszędzie gdzie spojrzysz okiem,
Wszystko budzi w tobie żal;
Siadłbyś, zda się, i z obłokiem
Tęskne dumy słałbyś w dal.

Jakby po czemsić straconem,
Jak po szczęściu przeszłych lat,
Wzdychasz, i okiem stęsknionem
Patrzysz na ludzi i świat.

Patrząc jak ten listek leci,
Opuściwszy miejsce swoje,
Jak z wiatrami gdzieś poleci
A z nim razem dumy twoje.

Gdzieś daleko w kraj rodzinny
Do rodzinnéj wioski twéj,
Gdzieś przepędził wiek niewinny
I upadnie może w niéj.

Może nawet tam upadnie
Gdzie rodzinna twoja chatka,
I podejmie go — któż zgadnie?
Twoja siostra, lub twa matka.

Szwierszcz.

WULKAN.

Góro ogniowa, czemu nie słuchasz,
Rozumu i serca głosu,
Czemu płomieniem zgubnym wybuchasz,
Jak w pierwszéj chwili chaosu?

Szaleństwo twoje, w dreszcz ziemię wtrąca,
I pracę pochłania ludzi,
A nic nie stwarzasz — i lawa wrząca,
Na ziemskim wietrze się studzi.

I znów natura i ludzkie dłonie,
Dawny ład wrócą do koła,
Nim wściekła burza, wszczęta w twem łonie,
Nowe zniszczenie wywoła.

O! przytłum, przytłum ognisko zgubne,
Pomnąc na własne zawody,
Porzuć zapędy swe samolubne...
Złącz się z harmoniją przyrody!"

Człeku niebaczny! próżne twe słowa,
Bluźnią wyrokom natury,
Wybuchów moich plaga gromowa,
Jest nakazaną mi z góry.

Ogień co wnętrze ziemi ogrzewa,
Przez me bezdenne łożysko,
Nadmiar płomieni swoich wylewa,
By zrównoważyć ognisko.

Bez tych wybuchów — w pożaru chmurze,
Zawrzałby cały glob srodze,
I choć mnie skarżą, że wzmagam burzę,
Ja dzierżę silne jéj wodze.

SŁONECZKO.

(*z Piosnki Ukraińskiéj*).

Wyjdy, wyjdy soneczko,
Na popowe połeczko,
Na babine ziłeczko...

Wyjrzyj, wyjrzyj słoneczko!
Na kościelną polanę,
Na babine ziółeczko,
Wyjrzyj, wyjrzyj kochane!

Oj, bo księdzu — krom chleba,
Którym biednych obdarza,
Swiec jarzących potrzeba,
Do świętego ołtarza.

A pasieka babina,
U kościelnéj polanki,
W jéj ogródku, leszczyna,
Bzy i wonne tymianki.

Gdy nazbiera z ziół miodu,
Pszółka więcéj da roi,
Kwieciem z swege ogrodu,
Babka ołtarz przystroi...

I na ołtarz da świece,
I dziękczynne pacierze,
Niech więc w swojéj pasiece,
Więcéj miodu podbierze.

Wyjrzyj, wyjrzyj słoneczko,
Na kościelną polanę,
Na babine ziółeczko,
Wyjrzyj, wyjrzyj kochane!

Do T. L.

(DZIĘKUJĄC ZA KWIATY).

Zamiast dalekich, szerokich światów,
O których śniłem za młodu,
Dziś mi tak dobrze wśród drzew i kwiatów
W miedzach mojego ogrodu.

Tu mi gra rzeka w cichym przelewie,
Tu mi szmer każdy wymowny,
A co za radość, gdy na mem drzewie,
Usiądzie ptaszek wędrowny.

Usiądzie rzeźwy — i nim porzuci
Ustroń mojego ogródka,
Jak umie biedny, tak mi zanuci,
Chcąc niby cieszyć odludka...

Lecz wolę drzewa, bo dobroczynnie
Darzą owocem i cieniem,
Lecz wolę kwiaty, bo tak rodzinnie,
Wdzięczą się barwą i tchnieniem.

To przyjaciele nasi najszczersi,
Dozgonnie nas nie odbiegają,
I jak niemowlę matczynéj piersi,
Z cichą miłością nas strzegą.

Dzięki więc Pani, dzięki serdeczne,
Za nowych przyjaciół tyle!
I nieraz dzięki wniosę stateczne
W samotnych mych dumań chwile.

Jan Prusinowski

O UBIORACH

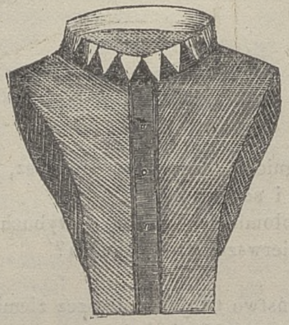
Korrespondencja z Paryża.

Zęby tak upowszechnione w roku zeszłym do sukien i paletocików, ciągle się jeszcze utrzymują. Wiele bardzo widzimy gładkich sukien z alpagi, *Lenosu* i t. p. zakończonych u dołu zębami. Między innemi zalecamy na codzień suknię z cienkiego płótna lub półbatystu, w niewarowym kolorze, wyciętą w okrągłe zęby, objęte czarną pletnią; nad tem jeszcze można naszyć dwa albo trzy rzędy sutaszem. Do tego bywa zwykle odpowiedni paletocik, puszczony wolno lub obciśnięty skórzanym pasem czarnym z takąż klamrą. Naszycie dane bywa w ten sposób.



Nie tylko suknie i paletociki wycinają w zęby, widzieliśmy także kapelusze słomkowe z rondem zakończonem okrągłemi zębami, co ładnie bardzo wygląda. Zęby te objęte były wązką czarną aksamitką. Na podpięcie służyła bandeletka czarna aksamitna, naszyta bławatkami, maczkiem i rumiankiem.

Kołnierzyki płócienne w zęby należą do najmodniejszych. Robi się zwyczajny kołnierzyk stojący z szeroką na cal listewką. Na to wykładają się zęby płócienne obstębnowane w maszynie; pomiędzy listewkę a zęby podwłóczy się czarna lub kolorowa aksamitka zakończona u szyi kokardką. Zęby mogą być obszyte brzegiem wąziutką walansienką. Oto wzór kołnierzyka.

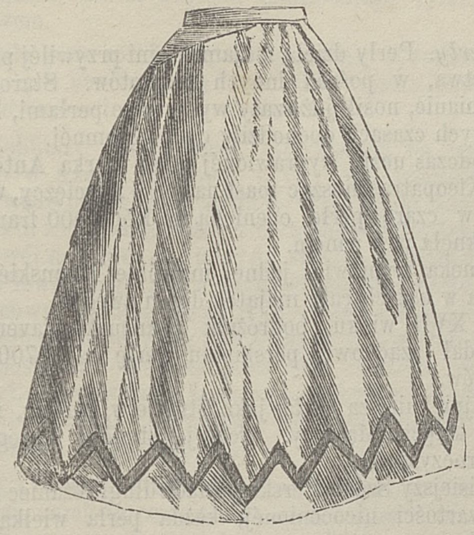


Rękawek ma odpowiedni mankiecik, zakończony małą kokardą z aksamitki.

Spódniczki wełniane pod suknie, przybierają także zębami, lecz zęby te nie są wycięte u dołu, ale odwinięte na wierzch. Spódniczka bywa zazwyczaj w paski u dołu, daje się plisa, z kolorowego tybetu lub popeliny, zakończona zębami w górze; zęby te w miej-

(Dodatek).

scu przyszycia objęte są aksamitką albo szlaczkiem perskim. Zalecamy bardzo ten rodzaj spódniczek, gdyż można je długo nosić, odmieniając tylko obłożenie. Oto jest wzór spódniczki.



Jeżeli spódniczka gładka, plisa w zęby może być w pasy albo w kratę. Ta ostatnia naszywa się zwykle ukośno.

Do lekkich sukien najwięcéj widać białych spódniczek, zakończonych u dołu kilkoma zakładkami, i koroneczką *kluny,* szeroką na palec. Jest to rodzaj niciané j gipiury.

Suknie z alpagi, *lenosu* i *fil de chèvre,* przybierają na rozmaity sposób aksamitkami, wstążeczką albo plisą jedwabną. Miejsce stanika zastępuje zwykle krótki paletocik, na pół przystający do figury, niekiedy rozcięty w tyle. Opiszemy tu kilka takich sukien gdyż uważamy je za najpraktyczniejsze na lato.

Suknia z fil de chèvre popielatego, w stalowym kolorze. U dołu, nad obrębem trzy rzędy czarnéj aksamitki szerokiéj na palec, aksamitka ta w odstępach naszyta cała guzikami stalowemi. Z pod najniższego rzędu aksamitki spada frendzelka jedwabna na dwa palce, czarna z popielatem na przemian.

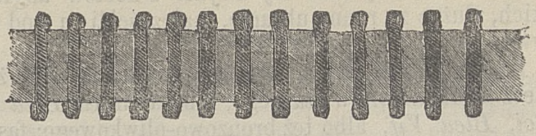
Dół sukni.



Paletocik przybrany odpowiednio. W koło pachy nad rękawem aksamitka nabijana guzikami. Rękaw u ręki zakończony tak samo.

Suknia z alpagi w niewarowym kolorze. U dołu nad obrębem, naszyta wstążka szafirowa szeroka na pół ćwierci. Przez tę wstążkę przechodzi drabinka z aksamitki czarnéj z pukielkami wypuszczonemi na obie strony.

Dół sukni.



Paletocik przybrany tak samo u dołu, równie jak rękawy na ramieniu i mankiecie.

Suknia jasno popielata bareżowa. U dołu naszywana w ukośnym kierunku, ruszką jasno szafirową jedwabną, w niedalekich odstępach, garnirunek ma półtory ćwierci szerokości. Stanik z baskiną w zęby ogarnirowaną ruszkami. Takież ruszki w koło pachy i u brzegu rękawa.

Suknia bareżowa czarna. U dołu nad obrębem trzy razy naszyty szlaczek perski. Paletocik przybrany takimże szlaczkiem. Pod spód koszulka bareżowa przybrana odpowiednio, spięta, równie jak paletocik na szmuklerskie jedwabne guziki w kolorach zastosowanych do szlaczku.

Koszulki fularowe białe, w czarny lub kolorowy groszek powszechnie przyjęte do codziennego ubrania. Wiele także widać płóciennych białych i szamoa, drukowanych w czarny rzucik, albo wyszywanych czarnym sutaszem.

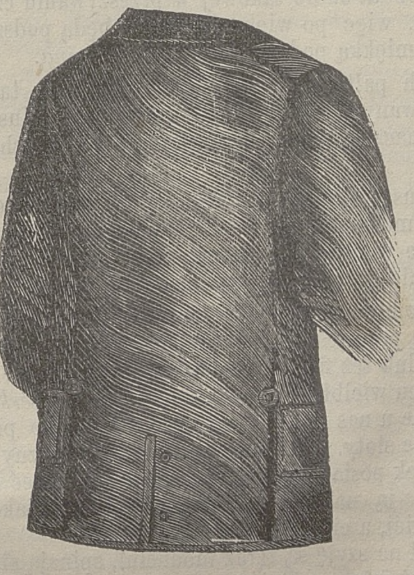


Pojawiły się nowe biżuterje srebrne połyskujące wyrabiane ażurowo. Kolczyki takie i brosze wyrabiają w formie ukośnych kwadracików (losanges) zgrelotkami spadającemi u dołu.

Widzieliśmy odpowiednie klamry, bransoletki i grzebienie.

O UBIORACH MĘZKICH.

Co do świeżo nadesłanych modelów ubiorów mężkich najwięcéj odróżnia się krojem tak zwany *Mazatlan,*



to jest rodzaj marynarki nader gustownie wyglądającéj przy całym garniturze.

(*Dodatek do Nr. 34 Tyg. Mód.*).

Kroju tego ubrania trudno dokładnie opisać więc go dajemy w rysunku. Ów Mazatlan wraz z pantalonami i kamizelką robi się zwykle z kortów angielskich, służąc za ranne ubranie, najczęściéj u wód używane.

Dziś najmodniejszem ubraniem jest tużurek lub żakieta z sukna koloru czarnego, lub kaszmiru *Bleu de Roi, Bleu Vif*, albo też bronzowo-oliwkowego; fasonem na dwa lub jeden rząd guzików, z wywinięciem klap dość okazałem i z kołnierzem okrągło-szerokim. Do takich tużurków i żakiet używają pantalionów jasnych z kortów w różnych kolorach, ale zupełnie gładkich, bez deseni.

Również ciągle są używane w Warszawie tak zwane przez krawców *Szantaliony*, to jest rodzaj marynarki, z przedziałem w tyle, zapinający się na dwa rzędy guzików z odciętemi rabatami przy gorsie, czyli podkładzie; przodki krają się gładko.

Najmodniejszym obecnie materyałem na palta, surduty, marynarki i żakiety są tak zwane *Miltony* w różnych kolorach i te jak się zdaje długą będą się cieszyły wziętością.

Miltony podobne do matowego sukna, lecz o wiele mocniejsze od niego, są pewnego rodzaju filcowym wyrobem różnéj grubości.

Kamizelki białe pikowe lub kaszmirowe z guzikami gładkiemi złoconemi są bardzo w użyciu, czy do fraka czy do tużurka, a nawet żakiety kolorowéj; można powiedzieć, że są to kamizelki jakby ogólne. Oprócz tego są także noszone teraz kamizelki z kaszmirów gładkich, koloru *bleu noir* fasonem dosyć obłużnym a nawet dekoltowanym z wypustką od szala na gors koszuli białą, z guzikami złoconemi.

Pantalony mają obecnie krój cokolwiek zwężony u dołu tak są wązkie, jak noga koło kostki z wycięciem zwierzchniéj nogawki, to jest dosyć wysoką bramką. Korty w kraty teraz są modnemi, a szczególniéj kolory szkockie.

Palta krojem równym, bez wcięcia z kołnierzem szerokim przygotowują się na późniejszą porę jesienną i zimową. Ponieważ wata jest dosyć drogą, a szczególnie robota około takowéj w przeszywaniu czyli pikowaniu, więc po większéj części będą podszywane ciepłą i miękką podszewką zwaną *Florina*.

Takich paltosaków ciepłych, a nierównie tańszych od pikowanych watą, zakład krawiecki p. Juszczyka dosyć znaczną partią przysposobił na nadchodzącą jesień.

Kapelusze okrągłe wysokie koloru popielatego filcowe są modnemi, zaś lekkie kapelusiki marynarskiemi zwane w różnych kolorach są najwięcéj używanemi na dnie gorące i do wód na ranną porę.

Przypominamy gospodarzom ziemskim, że na nadchodzącą porę jesienną są wielce przydatne z dobrych syberyn lub też filcowego sukna Sławuckiego, a nawet z filcu wielbłądziego robione *Abdel-kaderki* czyli tak zwane u nas *Burki*, jako praktyczne do podróży i w czasie słoty. Zakład p. Juszczyka znaczny dobór tych burek posiada. Ktoby sobie życzył mieć lżejszą to robić ją należy z Szenszyli grubéj jako nie tak ciężkiéj, a cieplejszéj.

Szaliki na szyję są teraz modnemi, spinają się spilką lub też jeżeli są lżejsze wiążą się na kokardę, wypuszczając końce na wierzch kamizelki.

Załączony rysunek przedstawia mazatlan, krojem od stanu, przodki krają się tak samo jak u marynarki.

GOTOWALNIA.

Perły. Perły dzielą z djamentami przywiléj pierwszeństwa, w pośród innych klejnotów. Starożytni Rzymianie, nosili już szaty wyszywane perłami, które w owych czasach dochodziły ceny ogromnéj.

Podczas uczty wyprawionéj przez Marka Antonjusza, Kleopatra wnosząc toast na cześć zwycięzcy, wrzuciła w czarę perłę ocenioną na 1,500,000 franków, i połknęła ją z winem.

Seneka wymawiał jednéj matronie Rzymskiéj, że nosiła w uszach cały majątek domu swego.

W XVII wieku, podróżnik Francuzki Tavernier, sprzedał szachowi perskiemu perłę za 2,700,000 franków.

Najpiękniejsza perła, jaka istnieje w świecie, należy do księcia Mascaty. Cenę jéj stanowi szczególna przezroczystość.

Dzisiejszy Szach Perski, posiada długi różaniec z pereł wartości nieocenionéj, każda perła wielka jak orzech.

Królowa Angielska posiada nadzwyczaj piękne perły. W skarbcu Cesarza Napoleona znajduje się też naszyjnik, złożony z 408 pereł, z których każda waży szesnaście gramów. Wart on 500,000 franków.

Zobaczymy teraz zkąd pochodzi perła.

W rzędzie żyjątek zapełniających morza i rzeki, są pewne mięczaki pokryte skorupą, które wydają z siebie materję wapienną i rogową zarazem, to jest mineralną i zwierzęcą. Materję te składają na wewnętrznéj powierzchni skorupy; z niéj się to tworzy tak zwana koncha perłowa. Pomiędzy konchą a ciałem żyjątka narastają niekiedy małe gruzołki, twarde przezroczyste i połyskujące kształtu okrągłego, utworzone z tejże saméj materji wapienno rogowéj, są to owe drogocenne perły, które w stroju tak wielką odgrywają rolę.

Wielkie ostrygi morskie z Indji Zachodnich, zwane *Ostrea Margaritifera*, wydają najpiękniejsze perły. Ostryga zwyczajna także je wydaje, lecz te w bardzo pośledním gatunku, nie mają w handlu żadnéj wartości.

Perły są zazwyczaj bez koloru, niekiedy jednak przybierają różne odcienia. Muszle zwane *Pinna Marina*, poławiane w morzu Czerwonem i Srodziemnem, wydają perły różowe. Też same muszle snują z siebie włókno zwane *Byssus* z którego starożytni wyrabiali kosztowny Bissior. W Sycylji i Kalabrji, wyrabiają do dziś dnia tę piękną i połyskującą tkaninę, ale raczéj dla osobliwości niż dla pożytku.

Inna muszla zwana Turbinella, przebywająca w Oceanie Indyjskim, wydaje też perły różowe. Znane są również perły żółte, popielate i niebieskawe, a nawet zupełnie czarne. Różnica koloru zależy od gatunku ziemi, a ztąd od gazów przepełniających wodę, w któréj rośnie i żyje muszla.

Perła psuje się w pewnych warunkach, dla tego zachowanie jéj wymaga ostrożności. Złożona z węglanu wapna, połączonego w małéj ilości z materją organiczną, ulega działaniu tychże samych czynników chemicznych, które rozpuszczają węglan wapna.

Wszelkie kwasy psują jéj powierzchnię, w kwasach skoncentrowanych można je nawet zupełnie rozpuścić. Nie ma historycznéj pewności, czy Kleopatra roztopiła w occie sławną perłę połkniętą za zdrowie Antonjusza; ale ze względu chemicznego byłoby to możliwem.

Zgniłe gazy rozkładają także perłę. Uszkodzona zowie się w handlu *starą* i traci na wartości, bardziéj uszkodzona zowie się pospolicie *umarłą*.

Najobfitszy połów pereł, odbywa się na wyspie Ceylan w Azyi. Nurkowie z Ceylanu, spuszczając się w wodę przywiązują sobie do nogi wielki kamień. W chwili zanurzenia każdy z nich posuwa między palce prawéj nogi linę, do któréj ów kamień przytwierdzony, do lewéj nogi przywiązuje siatkę na muszle; poczem chwytając linę prawą ręką, a lewą zatykając sobie nozdrza, zstępuje na dno wody, w prostéj lub skulonéj postawie. Gdy stanie na dnie, odczepia siatkę od nogi, a przywiązuje ją do szyi, wkłada w nią muszle, jakie napotka. Poruszając linę daje znak, aby go wyciągnięto na powierzchnię.

Praca to nadzwyczaj mozolna. Nieraz wróciwszy do łodzi, nurek wyrzuca krew nosem, ustami i uszami. Po dokonanym połowie, właściciel składa muszle na matach słomianych. Żyjątka przechodzą w zgniliznę, wówczas dobywają z nich perły, myją je i szlifują proszkiem z utartéj konchy, nadając im połysk i kształt okrągły.

W morzach Ameryki południowéj, poławiają też wiele pereł. Podczas panowania Hiszpanów w Ameryce, za rządów Karola Piątego, Ferdynanda Filipa i t. p. strony te dostarczały Hiszpanji pereł za 4,000,000 franków rocznie. Dziś najwięcéj ich poławiają w zatoce Panamskiéj i w Kalifornii; lecz nieoględny połów, coraz bardziéj wyczerpuje.

W Ameryce południowéj nurek na dnie morza otwiera każdą muszlę nożykiem i dobywa z niéj perły. Sposób to nierównie trudniejszy, lecz Amerykanie utrzymują, że perły tak dobywane, mają nierównie większą wartość.

Powiedzmy jeszcze słówko o połowie pereł w Europie. Muszle perłowe znajdują się w Szkocji w rzece Perth-Tay i innych; w Anglji w hrabstwie Cumberland w rzece Irt, w Walji w rzece Conwey. Rząd Angielski wydzierżawia ten połów.

Zbierają zwykle muszle w chwilach, kiedy woda ustąpi, kładą je w kocioł i gotują, poczem gniotą nogami rozgotowaną massę, i dobywają z niéj perły. W Irlandji także niektóre rzeki a szczególniéj Tyron i Donegal, zawierają muszle perłowe. Niektóre z tych pereł dochodzą wartości dwudziestu funtów szterlingów.

W innych jeszcze rzekach stałego lądu poławiają się perły. Między innemi przytoczymy tu Mołdawę w Czechach, i Elster w Saksonji, Francja poławia je także, ale w małéj ilości. W ogóle wszystkie perły Europejskie mają kolor blado różowy, i nie mogą iść w porównanie, z Azjatyckiemi lub Amerykańskiemi.

ROZMAITOŚCI.

O Elfinach.

Elfiny, które poeci niemieccy, wzięli z legend staro-germańskich, i tysiącem czarów oblekli, jak widzimy z saméj nazwy zawdzięczają byt swój fantastyczny, mitologji skandynawskiéj; dotąd niemal obcéj naszéj literaturze. Przypatrzymy się więc bliżéj, tym urojonym postaciom pierwotnéj wyobraźni ludów północnych...

W liczbie istot, któremi starożytna mitologja skandynawska zapełniła *dziewięć światów stworzenia* niepoślednie zajmują miejsce Elfy, czyli Alfy. Edda Sämunda, ten najdawniejszy pomnik podań dynawskich, dzieli Elfów na dwa rodzaje: *Promienistych* i *Czarnych*. Elfi promieniści są natury szlachetnéj i dobroczynnéj, postaci pięknéj, twarzy jaśniejszéj od słońca. Mieszkanie ich *Alfheim*, jest pod sławnym jasionem *Igdrasil*; konary tego symbolicznego drzewa, rozpościerały się po niebie i ziemi, a wierzchołek jego ogarniał świat cały. Nad nim, zbierali się władcy świata *Assowie* na walne narady i na sądy, bo z pod jego korzeni, wytryskało źródło *przeszłości i mądrości*. Niedziw więc, że osiedli na takiem miejscu Elfowie, musieli być przeważni wiedzą, jakoż, występujący w jednéj z sag, Elf, ma przydomek *Al-wis*, to jest *wszystko-wiedzący*. Przeciwnie zaś, *Elfi Czarni*, czyli *Karły*, powstali z robaków, wylęgłych z trupa *Imara*, owego praojca *olbrzymów*, zabitego przy *pierwszem przetworzeniu się świata*, podług pojęć mitologji skandynawskiéj. Elfi czarni, obleczeni w postać małych człowieczków, byli chytrzy i złośliwi, a nie mogąc znieść światła, kryli się we wnętrznościach ziemi. Rzecz godna uwagi, jak zaświadcza znakomity, a jedyny polski nasz tłumacz *Eddy*, że jeszcze w XVII wieku znaleźli się ludzie, którzy z punktu *naukowo-religijnego*, zastanawiali się najpoważniéj: Czy Elfi byli stworzeni od Boga, czy pochodzą od Adama i Ewy, czyli też należą do tak zwanych *przed-adamitów?* Nie ulega jednak wątpieniu, że wiara w Elfy, od Skandynawów przeszła do Niemców i Anglosaksonów.

Zresztą, wszystkie ludy mają podobne jestestwa, niby warianty z jednego tematu pieśni. Wszędzie spotykamy gromady jakichś duchów, niby symbole dwóch pierwiastków *dobrego i złego*, które pod rozmaitemi nazwami, przybrały tę lub ową postać i charakter, stosownie do rodzinnych pojęć i wrażeń miejscowych.

W szkocji *Trylby* zawiesza się u kądzieli młodéj dziewczyny, kręci się swawolnie z jéj wrzecionem, a na spoczynek układa się w fałdach jéj spódniczki, lub w warkoczach jéj włosów. W Norwegji, dotąd utrzymuje się wiara pomiędzy ludem, że Elfy we dnie przemieniają się w drzewa, a w nocy dopiero ukazują się we właściwych sobie kształtach. Nieraz też przy wschodzie słońca, widzi pasterz norwegski, wydeptane na pastwisku kręgi, nocnym tańcem tych duchów. Z zwierzeń ludu ukraińskiego, odnieść tu wypada podanie o *Miaukach*, stworzeniach złych i szkodliwych, kryjących się w łanach niezżętego zboża.

Do rzędu nakoniec podobnych duchów, należą *Elfiny*... Są to nimfy wodne, wybrzeżów Baltyckiego morza, Elby, Dunaju i Renu. Są to niby *Syreny*

staro-greckie, niby *Rusałki* dnieprowe, albo *Switezianki* na Litwie.

Elfina, zwykle samotna, mieszka pospolicie na dnie wód morskich lub rzecznych. Niekiedy tylko ukazuje się w postaci pięknéj kobiety, kołyszącéj się na falach, przeglądającéj się w wód krysztale, lub splatającéj złote swoje warkocze. Niekiedy znowu w postaci młodéj dziewczyny, drżącéj i bojaźliwéj, przychodzi pośród nocy zimowych, ogrzewać się przy ogniskach pasterzy. Zawsze jednak Elfina jest piękną i młodą, głos ma słodki i ujmujący, i mówiąc po prostu, lubi uwodzić chłopców... Ona to wieczorem, wzdycha nad brzegiem rzeki, wydaje lekki szelest w sitowiu i żałośnie jęczy w falach, rozbijających się o skały nadbrzeżne. Ona to oczarowuje oko rybaka, pociąga go za sobą do topieli, i zaprowadza do grot kryształowych, do koralowych gajów... Niekiedy znowu, niewidzialna, wydaje w wód przelewie harmoniję tak przynęcającą, że niepodobna oprzeć się jéj wpływowi... Elfina zakochana w młodym śmiertelniku podwaja swoje czary i złudzenia. Wyzywa go śpiewem na brzeg rzeki, czeka go na wybrzeżu, a nawet idzie go szukać na lądzie. Towarzyszy mu podczas bitwy, strzeże od niebezpieczeństw, czuwa nad nim troskliwie i ukazuje mu się piękną i strojną. Lecz biada, jeżeli zdradzi jéj miłość, lub tajemnicę. Zawiść jéj, równie jak poświęcenie, niema granic. Elfina doścignie wszędzie wiarołomnego kochanka, i zazwyczaj śmierć nagła, jest jego karą.

Hejne, którego poezje są u nas znane z dorywczych tłomaczeń, często wprowadza Elfiny w mistrzowskie swoje utwory, krótki więc nasz przegląd o Elfinach uważamy za stosowne zakończyć, przekładem pieśni Hejnego, o jednéj z Elfin, zwanéj *Lore-ley*, sławionéj w podaniach ludu nad Renem.

LORE-LEY.

Tak mi smutnie, tak boleśnie,
Nie wiem co się ze mną święci,
I odwieczna baśń jak we śnie,
Nie wychodzi mi z pamięci...

Jak w takt płynie Ren spokojnie,
A powietrzne mgliste, chłodne,
Na gór szczytach iskrzą strojnie,
Blaski słońca przed-zachodnie.

Tam dziewica, piękna cudnie,
Dziwnie w górze zawieszona,
Złoty strój jéj lśni ułudnie,
Złote włosy czesze ona...

Złotym czesze je grzebieniem,
I wciąż piosnkę jakąś śpiewa,
Co melodji pełna tchnieniem,
Tak uroczo się rozlewa!

Płynie żeglarz w małéj łodzi,
Chwyta chciwie pieśni tony,
Nie na skały, wśród powodzi,
Ale w górę zapatrzony...

Pewne fale wód z kolei,
Łódź z żeglarzem strącą na dno,
I to wszystko — Lore-ley,
Sprawi piosnką swoją zdradną!

Jan Prusinowski.

Opis ryciny

Figura 1. Suknia z *poil de chèvre* biała w szerokie lilla pasy. U dołu trzy plisy ukośne. Stanik gładki. Rękawy przybrane u ręki plisami. Kapelusz krepowy w formie fanszonika przystrojony bukietem kwitnącego głogu, podpięcie odpowiednie.

Figura 2. Suknia fularowa biała. Spódniczka fularowa zielona w zęby, paltocik do stanu, przybrany zielonemi plisami, spięty na guziki z konchy perłowéj. Kapelusz *Empire* słomkowy ubrany różami.

DONIESIENIA.

KORRESPONDENCJA.

P. Felixowi Kal. w Orenburgskiéj Gub.

Sprawunki przesłaliśmy, wedle obrachunku pozostaje w Redakcyi nie złp. 18 gr. 18, lecz złp. 16 gr. 6—opłata bowiem pocztowa wynosi złp. 3 gr. 24.

Pani Z. Oczekujemy z niecierpliwością wiadomości. Fotografie są już wykończone, czekamy tylko na Jéj decyzyę.

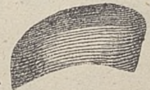
Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

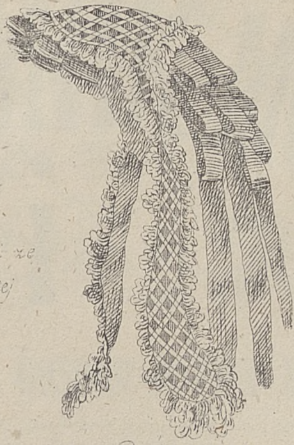
w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



5.



Kapelusz szkocki ze
słomy brukselskiej



2.

Fanszon gipiurowy podszyty
krepą lila ubrany wstążką

1.

Kok złożony z trzech pukli.
Włosy karbowane powyżej
drobnych loczków.–



4.



Włosy karbowane otoczone
warkoczem w diadem.–

Warkocz przewiązany nad
czołem, Kok z tyłu i loki
za uszami



Imp. à la Vapeur de Th. Dupuy, 3, Pass. du Désir.

3455

TYGODNIK MÓD

w Warszawie